

JAROSŁAW STULCZEWSKI*

Wywiad z Janiną Kalinowską – farmaceutką, kierownikiem apteki w Szadku w latach (1955–1972)

Szesnasty wywiad w ramach cyklicznej rubryki „Biuletynu Szadkowskiego” to rozmowa z Janiną Kalinowską, magistrem farmacji i wieloletnim kierownikiem apteki w Szadku (1955–1972) i w Zduńskiej Woli (1972–1987).

Na początek proszę przybliżyć, z jakiej rodziny się Pani wywodzi. Czym zajmowali się rodzice?

Moi rodzice Antoni Kukuła i Sylwestra z domu Kwapisz byli nauczycielami. Ze względu na moje nazwisko panieńskie w szkole nazywali mnie Kukulanka. Mój dziadek ze strony mamy, Józef Kwapisz, był młynarzem. Posiadał wiatrak w Złoczewie. Miał tam także mały domek, który we wrześniu 1939 r. został spalony przez Niemców. Ja urodziłam się w Złoczewie, gdzie jako pedagodzy pracowali moi rodzice. W 1931 r. przenieśliśmy się do Charłupi Wielkiej, w której powstała nowa szkoła i było zapotrzebowanie na nauczycieli. Gdy rozpoczęła się II wojna światowa, miałam ukończone pięć klas szkoły powszechnej.

Gdzie zastał Panią wybuch II wojny światowej?

W Charłupi Wielkiej. 16 grudnia 1939 r. Niemcy wysiedlili nas do Starego Sącza. To było drugie wysiedlenie w tej okolicy, pierwsze odbyło się 1 listopada.

* Jarosław Stulczewski, archiwista, działacz społeczno-kulturalny oraz ruchu rekonstrukcyjno-historycznego, prezes Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Zduńskiej Woli, ul. Mickiewicza 4, 98-220 Zduńska Wola; e-mail: jaroslaw.stulczewski@o2.pl

Czy dużo osób zostało wysiedlonych 16 grudnia 1939 r. z Charłupi Wielkiej?

Nie, wtedy wysiedlali inteligencję – nauczycieli i księży. Przyszedł do nas sołtys z informacją od niemieckiej żandarmerii o wysiedleniu i kazali nam dać podwodę na dworzec kolejowy w Sieradzu. U sąsiada zostawiliśmy część rzeczy, które następnie trafiły do dziadków w Złoczewie, ze sobą zabraliśmy niewiele. W Sieradzu wsadzili nas do pociągu towarowego. W wagonie razem z nami była nauczycielka z trzymiesięcznym dzieckiem, dla którego mleko grzała nad świeczką. Było strasznie zimno. Nikt się nami nie przejmował, a w dodatku wagon był zaplombowany. Dopiero w Kamieńsku kolejarze rozplombowali wagon i otrzymaliśmy kawę, herbatę oraz mleko dla dziecka. Później zawieźli nas do Starego Sącza, gdzie spędziliśmy kilka miesięcy. W 1940 r. mój tata dostał posadę nauczyciela we wsi Długoleś-Świerkla, w miejscowości położonej między Podegrodziem a Przyszowem na Podkarpaciu. Później został kierownikiem szkoły i był nim do momentu wejścia Sowieców.

Czy z Charłupi Wielkiej oprócz was zostali wysiedleni także inni nauczyciele?

Nie. W Charłupi Wielkiej była szkoła czteroklasowa, w której byli tylko dwaj nauczyciele. Z tej też przyczyny piątą klasę kończyłam w Złoczewie. W tym czasie mieszkalam u dziadków ze strony mamy.

Czy w czasie wojny kontynuowała Pani naukę?

Na terenach wcielonych do III Rzeszy w tzw. Kraju Warty polskie szkoły zostały zamknięte, a nauka zakazana. Później funkcjonowały tylko szkoły niemieckie. Odmienne było na terenach Generalnego Gubernatorstwa, gdzie działały polskie szkoły, więc szóstą klasę ukończyłam w Starym Sączu. Wówczas szkoły były siedmioklasowe. Kiedy mieszkaliśmy w Długoleś-Świerkli, chodziłam na komplety do Podegrodzia. Koleżanki, które uzyskały przed wojną tzw. małą maturę, udzielały korepetycji młodszym uczniom. Tam zaliczyłam pierwszą klasę gimnazjum. Uczyła mnie m.in. córka organisty. Przed wojną mało kto miał maturę na wsi. Na kompletach uczyłam się m.in. języka niemieckiego, którym mogłam się jako tako porozumieć, zwłaszcza gdy zostałam zabrana do kopania okopów. Gdy skończyła się wojna w 1945 r., kontynuowałam naukę od drugiej klasy gimnazjalnej w Sieradzu.

Czyli w 1944 r. została Pani przymusowo zabrana do kopania okopów?

Tak, moja mama również. Okopy dla żołnierzy nie były zbyt głębokie, jednak rowy przeciwczołgowe miały aż cztery metry głębokości. Gdy Niemcy nie patrzyli nam na ręce, staraliśmy się nie pracować. Nie dawali nam jedzenia i człowiek nie miał siły robić cały dzień. Przy budowie umocnień pracowałam od sierpnia 1944 r. aż do stycznia 1945 r.

Maturę uzyskała Pani w sieradzkim liceum?

Tak, w Sieradzu w 1949 r.

Jak wyglądało Pani dzieciństwo do wybuchu II wojny światowej?

Grałam w siatkówkę, a także bawiłam się w inne zabawy. Dzieci wiejskie przed wojną pracowały – musiały paść krowy, gęsi, a więc zajęcie miały. Zawsze przed lekcją była krótka gimnastyka, po której dzieci śpiewając, wracały do klas.

Ile dzieci uczyło się w szkole powszechnej w Chałupie Wielkiej?

Około 30, może niecałe 30. Najpierw przychodziła trzecia i czwarta klasa, a te młodsze dzieci zaczynały lekcje w późniejszych godzinach.

Czy zastanawiała się Pani kiedyś nad tym, skąd wywodzi się Wasza rodzina?

Dziadek był ze Złoczewa i pochodził stamtąd. Wywodził się z rodziny o tradycjach młynarskich.

Czy w czasie wojny oprócz pobierania nauki również Pani pracowała?

Wojna wybuchła, gdy miałam 12 lat. Kiedy mieszkaliśmy na wsi, robiłam na drutach swetry, rękawiczki, skarpetki. Pensja nauczyciela w czasie wojny była przedwojenna, czyli starczała na jeden dzień. Pierwszy rok okupacji był straszny, panował głód. Dam taki przykład. W maju, choć świeciło słońce, mama kładła nas o godz. 17.00 do łóżka, byśmy nie biegali, bo nie miała nam co dać jeść. Jako że młyny były pozamykane, musiałyśmy z mamą same mieć ziarno na mąkę do wypieku chleba. Sadziliśmy warzywa w przyszkolnym ogródku, hodowaliśmy ziemniaki, dlatego później nie było już u nas głodu. Jak są ziemniaki, to głodu nie ma.

Czyli nie była Pani jedynaczką?

Nie, miałam jeszcze młodszą siostrę. Do pierwszej klasy poszła już w Nowym Sączu i tam też przystąpiła do pierwszej komunii świętej. W tamtym okresie, ze względu na niepewne czasy, pierwsza komunia święta była w pierwszej klasie.

Kiedy wróciliście Państwo w rodzinne strony?

W 1945 r. pojechaliśmy z Długołęki-Świerkla do Nowego Sącza i stamtąd pociągiem do Chabówki. Tam Sowietci wyrzucili nas z pociągu. To był luty lub marzec 1945 r. Mój tato był po dwuletnim seminarium nauczycielskim, które ukończył w okresie zaborów w Łowiczu, i znał język rosyjski. Po wyrzuceniu nas przez Sowietów z pociągu i spędzeniu na dworcu trzech dni udało mu się jakoś z nimi dogadać. W zamian za bimber wsadzili nas do pociągu towarowego, którym dojechaliśmy do Krakowa. Z Krakowa pojechaliśmy do Sieradza. Podróż trwała prawie tydzień. Po przyjeździe do Sieradza okazało się, że brakuje nauczycieli – wielu zostało wysłanych do obozów koncentracyjnych, gdzie zmarli. W pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny rozpoczęto organizowanie szkolnictwa, więc rodzice otrzymali pracę w Sieradzu.

Nie wróciliście już Państwo do Charłupi Wielkiej?

Wróciliśmy. Z Charłupi przyjechała delegacja, która poprosiła rodziców, aby znów podjęli w tej miejscowości pracę jako nauczyciele, ponieważ od pięciu lat nie odbywały się tam zajęcia, bo nie miał kto uczyć dzieci. W Charłupi zostaliśmy półtora roku, do czasu kiedy na miejsce rodziców przyszło małżeństwo nauczycieli z Klonowej, a my przenieśliśmy się do Sieradza. W późniejszych latach mój tata pracował w inspektoracie szkolnym w referacie budowy szkół.

Skąd pomysł na studia farmaceutyczne?

Być może to za sprawą mojej cioci, która namawiała mnie do studiowania na tym kierunku.

Czy ciocia też była z zawodu farmaceutką?

Nie, ciocia prowadziła kancelarię notarialną w Złoczewie. Była jedną z pięciu sióstr mojej mamy.

Gdzie Pani studiowała farmację?

W Łodzi. Studia ukończyłam w 1953 r. Moją pierwszą pracę podjęłam w aptece Jana Szaniawskiego w Zduńskiej Woli. Już w czasie studiów po trzecim roku odbywałam praktyki w Sieradzu.

Jak to się stało, że znalazła się Pani w Szadku?

Dostałam tam przydział, bo mój poprzednik nie chciał już tam pracować, wołał wrócić w swoje strony w okolice Zelowa (w późniejszym czasie pracował w Instytucie Leków w Warszawie, niestety nie pamiętam jego nazwiska). W Szadku pojawił się więc wakat. Zaproponowano mi przeniesienie, a ja się zgodziłam.

W którym roku została Pani kierownikiem apteki w Szadku?

To był rok 1955.

Czy pracowała Pani sama w szadkowskiej aptece? Czy miała Pani kogoś do pomocy?

W pracy pomagała mi pani Nowakowa, wdowa po Zenonie Nowaku, właścicielu apteki przed jej upaństwowieniem. Była też sprzątaczką. Apteka mieściła się przy ul. Warszawskiej.

Czy na czas pracy zamieszkała Pani w Szadku?

Musiałam zamieszkać, gdyż to nie była taka łatwa praca. W środy był dzień targowy, więc pracowałam od godz. 8.00 do 14.00 bez przerwy. W pozostałe dni pracowałam z godzinną przerwą obiadową. Apteka była otwarta od poniedziałku do soboty.

Czy apteka pełniła dyżury w niedziele i święta?

Było tzw. pogotowie pracy. Gdy ktoś miał receptę i potrzebował leku, przychodził do mnie do domu. Najpotrzebniejsze leki, w tym antybiotyki, aby nie chodzić nocą do apteki, miałam w pudełku w domu.

Gdzie mieszkała Pani w Szadku?

Mieszkałam w domu Grohmana, na pierwszym piętrze przy ul. Warszawskiej, blisko apteki. Grohman z pochodzenia był Niemcem, ale to był bardzo porządny człowiek, złego słowa nie mogę na niego powiedzieć. Rodzina ta

miała gospodarstwo gdzieś pod Zduńską Wolą i może dlatego nie wyjechała w 1945 r. z Polski. Grohman utrzymywał rodzinę dzięki zakupionej w Niemczech młocarni – świadczył dla okolicznych rolników usługę omłotu zboża. Takich maszyn nie było w okolicy, on miał jedyną. Z tego był znany. W czasie wojny zachowywał się dobrze w stosunku do Polaków, a po wojnie nie chciał wyjeżdżać z kraju. W Szadku miał kamienicę z dużym podwórzem, gdzie trzymał swoją maszynę. Jego żona też miała rodowód niemiecki. Mówili dobrze po polsku i po niemiecku. My rozmawialiśmy tylko po polsku. Był ewangelikiem, dlatego został pochowany na cmentarzu w Zduńskiej Woli. Gdy zmarł, na pogrzeb przyjechał cały Szadek.

Jak wyglądał Szadek w latach 50. XX w.?

Nie było bieżącej wody, chodziliśmy po wodę do studni w rynku. Były to trudne czasy. Kiedy pracowałam w Szadku, byłam już po ślubie. Męża poznałam w Zduńskiej Woli. Pobraliśmy się 1954 r. Razem zamieszkaliśmy w Szadku, gdzie urodziły się nasze dzieci.

Czym zajmował się Pani mąż?

Prowadził księgowość w aptece i pomagał w pracy biurowej przy prowadzeniu apteki. Wysyłał między innymi rachunki do Cefarmu w Łodzi, rozliczał recepty, a także zamawiał brakujące leki.

Od kiedy apteki w Polsce stały się własnością państwa?

W 1951 r. Od tego czasu wszystkie apteki były państwowe.

Czy w kolejnych latach pracowali z Panią w szadkowskiej aptece także inni farmaceuci?

Gdy zaczęto kształcić techników farmacji, to w aptecę pracowało kilka dziewczyn, jednak żadna nie została dłużej czy na stałe. Magistrów farmacji było niewielu. W Szadku w tamtym okresie byłam jedynym magistrzem farmacji.

Jak wyglądała ówczesna służba zdrowia w Szadku?

W mieście był jeden doktor – Joachim Kowalski, bardzo dobry lekarz. Dentystów na stałe nie było, każdy jak tylko trafiła się okazja, przenosił się do Łodzi. Działała tylko jedna apteka i nie było potrzeby, aby było ich więcej. Przygotowywałam leki na podstawie receptur – na świerzb maści siarkowe z beta-naftolem, na zapalenie wymion u wycielonych krów ludzie

przychodzili po maść jodowo-kamforową. Teraz już w aptekach się tego nie robi. Dziś apteki nastawione są na zysk. Kiedyś wszystko było państwowe. Chodziło przede wszystkim o to, by pomóc innym.

Na co ludzie wówczas najczęściej chorowali?

Był taki okres, że chorowano na gripę. Dostawa do apteki była tylko raz w miesiącu z hurtowni w Łodzi, która zaopatrywała kilka województw. Gdy zaczynało brakować leków, musiałam przygotowywać różnego rodzaju proszki, m.in. zawierające guaranę. Każda apteka miała swoje receptury. Teraz się tego nie wykonuje. Są gotowe produkty.

Co było wówczas największą bolączką? Jakich leków w szczególności brakowało?

Gdy jakieś leki były potrzebne, wtedy mój mąż jechał do Cefarmu w Łodzi i przywoził te leki. Musiałam wiedzieć, ilu jest cukrzyków, żeby zamówić odpowiednią ilość insuliny. Było dwóch epileptyków, dla których też musiałam mieć leki. Trzeba było mieć rozeznanie, kto na co chorował. Ceny w aptekach były jednakowe w całej Polsce – według ogólnie ustalonych cenników.

Jak Pani wspomina swój pobyt i pracę w Szadku.

W Szadku byłam prawie 19 lat. Swoją pracę wspominam raczej pozytywnie. Gdy ludzie dowiedzieli się o moim odejściu, jedna z pań przyszła do apteki w czarnej sukience. To było takie miłe. Konfliktów żadnych z mieszkańcami nie miałam.

Czy podczas pracy w Szadku współpracowała Pani bądź przyjaźniła się z kimś z mieszkańców?

Tak, z felczerem Szeplińskim i z jego żoną, która chodziła z moją siostrą do jednej klasy w Sieradzu. W wolnym czasie graliśmy w karty. Byli od nas młodszy. Pamiętam pana Ziembę, który chodził na polowania, czasem zamawiałam u niego kuropatwę bądź zająca.

Jak to się stało, że z Szadku trafiła Pani do pracy w Zduńskiej Woli?

W Szadku nie było luksusów – ubikacja w podwórzu, nie było bieżącej wody w domu (w wodę zaopatrywaliśmy się z hydrantu). Z pracy w Szadku zrezygnowałam w 1972 r. ze względów praktycznych i rodzinnych (dzieci poszły do szkoły średniej w Zduńskiej Woli). Na moje miejsce

do szadkowskiej apteki przyszła moja koleżanka ze studiów – Kornacka, (imienia nie pamiętam), ale była tu krótko.

W której aptece pracowała Pani w Zduńskiej Woli?

Byłam kierownikiem apteki przy ul. Kościelnej. Była to apteka po Szaniawskich.

Czy duża była różnica w zarobkach pomiędzy Szadkiem a Zduńską Wolą?

W Zduńskiej Woli zarabiałam więcej.

Czy możemy powiedzieć, że dzięki rozwojowi środków farmakologicznych życie ludzkie uległo wydłużeniu?

Tak, oczywiście. W szczególności wydłużyło się życie kobiet. To też zależy od trybu życia. Jeżeli człowiek się porusza, ćwiczy (ja ćwiczyłam 25 lat jogę, dużo jeździłam na rowerze z koleżankami Marysią Strzelecką i Nellą Nejmanową), to długość życia się wydłuża.

Czy farmacja była Pani pasją, czy raczej pomysłem na życie?

To był mój własny wybór, z którego byłam bardzo zadowolona. Mam satysfakcję, że młodsze pokolenie zasięga u mnie jeszcze porady – to też o czymś świadczy.

Kończąc naszą rozmowę, proszę powiedzieć, jaki ma Pani stosunek do obecnej sytuacji w kraju, wywołanej chorobą określaną jako Covid-19?

Wirus ten nie tylko jest w Europie, ale też i na całym świecie. W 1918 r. panowała grypa hiszpanka. Przechodziła przez różne kraje i w pewnym momencie zanikła. Był lek na tę chorobę. Profesor farmakognozji Jan Muszyński zauważył, że ci z jego pracowników, którzy mieli styczność z olejkiem eukaliptusowym, nie chorowali. Jak przychodziła grypa, to podawałam moim pracownikom po trzy krople na cukier olejku eukaliptusowego. Nie wierzyli w to, ale żaden z nich nie zachorował. W Polsce dziś trwa pandemia nie epidemia, czegoś takiego od zakończenia II wojny światowej nie było. Najbardziej niepokojące jest to, że umierają także ludzie młodzi. Nawet profesorowie nie wiedzą, kiedy to się skończy.

Dziękuję za wywiad i życzę dużo zdrowia.

Dziękuję.

Łódź, 19 marca 2021 r.

NOTA BIOGRAFICZNA |

Janina Krystyna Kalinowska, z domu Kukuła – urodziła się 24 listopada 1927 r. w Złoczewie. Córka Antoniego i Sylwestry z Kwapiszów. Szkołę średnią ukończyła w Sieradzu. W 1953 r. uzyskała tytuł magistra farmacji na Wydziale Farmaceutycznym Akademii Medycznej w Łodzi. Ukończyła specjalizację drugiego stopnia w zakresie farmacji aptecznej. W 1954 r. zawarła związek małżeński ze zduńskowolaninem Henrykiem Kalinowskim. Początkowo pracowała w Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łasku (1.IO.1953–30.II.1953) i w aptece w Zduńskiej Woli (1953–1955). W kolejnych latach była kierowniczką apteki w Szadku (1955–1972) i w Zduńskiej Woli (1972–1987). Od 1956 r. jest członkiem łódzkiego oddziału Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego. W 1977 r. została wyróżniona odznaką „Za Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia”. Obecnie na stałe mieszka w Łodzi, a w okresie letnim przebywa w Zduńskiej Woli.



| Informacje o artykule: przyjęto – 6.04.2021 r.; zaakceptowano – 21.04.2021 r.